

**WOJCIECH
CHMIELARZ
WAMPIR**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Wojciech Chmielarz

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

But it was not your fault but mine
And it was your heart on the line
I really fucked it up this time
Didn't I, my dear?

Mumford & Sons, *Little Lion Man*

U Świętego Antoniego zabili w dzwony. Maria zastygła z nożem nad szykowaną właśnie kanapką.

– Na którą to? – zapytała ciotka z sąsiedniego pokoju.

– Na dziewiątą.

– To mamy czas – stwierdziła ciotka, ale w jej głosie brzmiały niepokój i pretensja.

Maria westchnęła i wróciła do przygotowywania śniadania. Pierwsze komunie zawsze budziły w niej złe wspomnienia. Ze swojej pamiętała głównie przyjęcie już po. Czerwony na twarzy ojciec podrzucał ją pod sam sufit. W głowie kręciło się jej od intensywnego zapachu wódki i przywiezionych ze wsi nalewek, a oczy łzawiły od wiszącego siwą chmurą dymu papierosów marki Sport. Zwymiotowała i na ojcowską twarz, koszulę oraz ulubiony krawat w prążki poleciał wielobarwny paw złożony ze zdobytych z trudem jajek, wędlin, ciast i czekolady.

Później była komunia jej młodszego brata. Wspinali się na rosnącą na podwórku wierzbę i skakali z coraz wyżej położonych konarów na miękką, mokrą i pachnącą zmurszałymi liśćmi ziemię. Podczas jednego z tych skoków zahaczyła plecami o wystającą gałąź, porwała wyjściową sukienkę z falbankami i zerwała wisiołek. Łańcuszek odnalazła wśród korzeni, ale złoty krzyżyk zaginął na zawsze. Ojciec znowu był wtedy pijany, więc matka

sama wyjęła mu pasek ze spodni (wśród chichotów i zachęcających okrzyków zebranych gości) i zamknęła się z Marią w jej pokoju, bijąc ją za karę zbyt długo i zbyt mocno.

Wreszcie, najgorsza z tych wszystkich, komunია Mateusza. Czytał wtedy przejęty fragment Starego Testamentu. Ubrany jak pan młody, w śliczny mały garnitur z białą muszką i kamizelką. Z włosami lśniącymi od żelu, zaczesanymi elegancko na bok. Jej mały skarb. Jak się przygotowywał do tej chwili. Ile razy czytał ten krótki fragment w domu! Zawsze wracał ze szkoły, rzucał plecak w kąt i ściągał z półki zakurzoną Biblię Tysiąclecia, a potem prosił, żeby pokazać mu „jego tekst”. Powtarzał go sobie tyle razy, że nawet Maria znała go już na pamięć.

Straciła tę jego wielką chwilę. Nie potrafiła się skupić, bo trzy rzędy za nią, trochę po prawej, siedziała ONA. Maria czuła na swoim karku JEJ palący wzrok. Pełen wzdąry i lekcewżenia. Czemu wtedy przysłała? Maria zauważyła JĄ jeszcze przed mszą. Prosiła, żeby sobie poszła, żeby nie psuła jej tego pięknego dnia. A ONA odpowiedziała obłudnie, że nie ma pojęcia, o co jej chodzi, i poparła te słowa teatralnym gestem. Maria, zdesperowana, ze łzami w oczach, błagała męża, żeby coś zrobił. Wzruszył ramionami, mówiąc, że przecież nie będzie nikogo z kościoła wyrzucał, a ONA ma prawo tam być. Najgorsze było jednak to, że koleżanki z pracy, z ulicy, ze szkoły od Mateusza, wszystkie matki, żony, ciotki, babki, wszystkie one wiedziały i szeptały między sobą, pomiędzy modlitwami, o Marii, o NIEJ i o niewiernym mężu. Maria nie mogła się skupić na liturgii, na Mateuszu, na jej małym, pięknym mężczyźnie, kiedy przystępował do tego najważniejszego z sakramentów.

Nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona.

Miesiąć później mąż od niej odszedł. Zostawił ją i zostawił Mateusza. Po następnych czterech miesiącach ONA przysłała do Marii zapłakana, przerażona i drżąca. Błagała, żeby ją wysłuchała,

żeby dała jej numer do męża. Maria tylko łagodnie zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

– No, gdzie jest Mateusz? – zapytała nerwowo ciotka, wchodząc do kuchni.

Czuła się u Marii wyjątkowo swobodnie, czego dowodem było to, że nie włożyła koszuli. Obwisłe, pomarszczone piersi, nieudolnie zamknięte w poszarzałym od częstego prania biustonoszu, kołysały się w rytm jej kroków.

– Przyjdzie – odpowiedziała Maria.

– Kochanie, ale grubiej pokrój tę wędlinę – rzuciła ciotka, spoglądając na talerz.

– To nie ja pokroiłam, tylko w sklepie.

– Oczywiście, kochanie. Ale jakby nie zdążył?

– Zdąży.

– Ale jakby.

– To pójdziemy piechotą.

Ciotka skrzywiła się, sięgając po kanapkę.

– Z moimi nogami?

– To niedaleko.

– Nie mówiłabyś tak, kochanie, gdybyś była w moim wieku.

– To zamówimy taksówkę.

– A zdążymy? I daj drugi talerzyk, kochanie. Dla Zdzisia zrobę śniadanko. I jakieś warzywko byś dokroiła. Dobrze, skarbie? A w ogóle to sama powinnaś zrobić prawo jazdy. Ja to już jestem za stara, ale kobiety w twoim wieku to mają prawa jazdy i same prowadzą samochody. Nie rozumiem, dlaczego ty byś nie mogła.

Maria wyciągnęła ze zmywarki talerz, starając się ignorować przemowę ciotki. W lodówce znalazła pomidora. Skroiła go szybko i nałożyła. Ciotka wzięła porcję dla siebie i wuja. Wychodząc z kuchni, rzuciła jeszcze:

– I kawki byś zrobiła, dobrze, skarbie? I żeby Mateuszek zdążył. Zadzwoń do niego może, co?

Maria nie chciała mówić, że już dzwoniła. Trzy razy. Chłopak nie odbierał. Pewnie spał albo miał wyłączoną komórkę. W najgorszym razie zgubił, bo przecież nie wiadomo, gdzie się szla-jał z kumplami. Ostatniej nocy miał spać u Szymona Majki, na Gwardii Ludowej. Niedaleko, zdąży wrócić. Tłumaczył, że chciał zrobić miejsce dla wujka i ciotki, żeby mogli u nich pomieszkać w komforcie i spokoju. Maria wiedziała, że ta nagła troska o wujostwo była tylko pretekstem, żeby spędzić noc na włóczeniu się po klubach, piciu albo graniu na komputerze. Dlatego się nie zgodziła. Odpowiedział jej, że skończył osiemnaście lat i nie może mu już rozkazywać. A ona automatycznie podniosła głos, że dopóki żyje pod jej dachem, to... W efekcie skończyło się na tym, że wrzeszczała na niego, kiedy się ubierał, a on, wychodząc, trzasnął drzwiami tak mocno, że zadrżały szyby w oknach. Mateusz był kiedyś rozsądnym chłopakiem. Po rozwodzie, kiedy był jeszcze mały przecież, pięknie się nią opiekował. Pomógł jej stanąć na nogi. Nie rozumiała, co się z nim stało przez ostatnie lata. Jakby ktoś podmienił jej śliczne, grzeczne dziecko na wrednego i złośliwego gнома. Podejrzewała, że to вина jego dziewczyny. Miała na niego zły wpływ.

Maria zerknęła na zegarek. Było już piętnaście po dziewiątej. Mamy czas, uspokajała się. Na pewno zasnął. Komórka mu wysiadła, nawet nie zauważył kiedy, i budzik nie zadzwonił. Zaraz sam się obudzi i za dwadzieścia minut, góra pół godziny wpadnie tutaj zdyszany, z przeprosinami. Oczywiście ich nie przyjmie. Spójrzy na niego lodowato i przez całą uroczystość i przyjęcie będzie dawała mu do zrozumienia, jak bardzo jest na niego obrażona i jak bardzo ją zawiódł. On będzie udawał, że niczego nie widzi, więc będzie musiała narobić mu wstydu. Opowie o wszystkim całej rodzinie. Albo pozwoli, żeby ciotka to zrobiła. Już ją przecież świerzbził język.

Zaparzyła kawę. Z szafki wyciągnęła kubki i rozlała ją do nich.

– Kawa gotowa! – krzyknęła w głąb mieszkania. Nikt jej nie odpowiedział. Jeśli ciotka z wujkiem sądzą, że przyniesie im do pokoju, to grubo się mylą. Wyrzała przez kuchenne okno na podwórko. Nigdzie nie dostrzegła syna. Zaczęła sprzątać.

Mateusz nie przepadał za rodzinnymi zjazdami. Tak samo jak ona, a komunია kuzynki była takim zjazdem, i to najgorszego rodzaju. Ale Mateusz bardzo lubił „Potwora”, jak nazywał dziewczynkę, i wprost uwielbiał wujka. Nie odpuściłby. Szczególnie że wujek był dość bogatym człowiekiem i impreza też miała być na bogato. Wujek planował jakieś atrakcje, szwedzki stół i obiad we włoskiej restauracji urządzonej w starym spichlerzu. No i Mateusz chciał przecież zobaczyć, jakie prezenty dostanie „Potwór”. Wcześniej goście otrzymali listę życzeń. Czego na niej nie było! Lalki, konsole, tablety, komórki, aparaty, kamery i inne cuda. Maria czytała to z rosnącym niedowierzaniem. Za jej czasów wystarczał złoty łańcuszek i zegarek albo rower, jeśli ktoś miał szczęście.

– Masz żelazko? Bluzka mi się pomięła – odezwała się ciotka, wchodząc do kuchni z pustymi talerzami. Wrzuciła je do zlewu, chociaż Maria prosiła poprzedniego wieczoru, żeby odkładała je od razu do zmywarki, i z dezaprobatą spojrzała na kubki. – Kawa? Ale już zimna! Czemu nie wołałaś?

– Wołałam!

– Nic nie słyszałam. To masz to żelazko, kochanie?

Maria myślała, że się przesłyszała. Za kogo ciotka ją uważała? Oczywiście, że miała żelazko w domu. Pralkę i odkurzacz również.

– Przynieś bluzkę.

Już kilka minut później stała nad deską, prasując nie tylko bluzkę ciotki, ale też płócienne spodnie wuja i jego koszulę. Kiedy skończyła, dochodziło wpół do dziesiątej. Odniosła rzeczy wujostwu. Sama wróciła do sypialni. Wyjęła z szafy wcześniej przygotowany komplet i przebrała się w czarną spódnice, białą

koszulę i jasny zakiet. Dołożyła do tego cieliste rajstopy i srebrną biżuterię.

Było za piętnaście dziesiąta, kiedy do jej pokoju zajrzała ciotka.

– To może zadzwoń jednak po tę taksówkę.

– Mamy czas.

– No ale taksówka musi dojechać.

– Mateusz zaraz wróci – stwierdziła Maria, siłąc się na spokój.

Gdyby teraz zamówiła taksówkę, zdążyliby pewnie na uroczystość. Kiedy pojawiliby się wreszcie Mateusz, na jej pretensje wzruszyłby tylko ramionami i powiedział, że przecież świetnie poradzili sobie bez niego i że nie ma żadnego problemu. Nie zamierzała pozwolić mu na odpowiedź, że przecież nic się nie stało. Jeśli mieli się spóźnić i stać w kościele, to trudno. Spóźnią się i będą stać. Do tego Mateusz pewnie przez całą noc pił. I palił z kolegami. Nie zdąży się porządnie wykąpać. Pojedzie śmierdzący wyżłopanym piwem i papierosami. I dobrze. Niech się wstydzi. Niech świeci oczyma przed wujostwem. Niech tłumaczy „Pottworowi”, dlaczego wali od niego tanią wódką. Była wściekła. Nie miał prawa jej tak zawieść. Dziesięć razy prosiła, żeby wrócił na dziewiątą.

– To może chociaż zadzwoń do niego? – poprosiła ciotka.

Maria wiedziała, że to bezcelowe, ale sięgnęła po komórkę. Zrobiła to tylko po to, żeby ciotka się wreszcie odczepiła. Wybrała numer. Słuchała sygnału nieodbieranego połączenia, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Odrzuciła telefon na łóżko.

– Widzisz, już jest – powiedziała, mijając ciotkę.

Dopiero na korytarzu dotarło do niej, że Mateusz przecież miał swoje klucze. Nie musiał dzwonić. Nacisnęła klamkę.

Zobaczyła dwóch mężczyzn. Jeden z nich był umundurowanym policjantem. Drugi nosił dzinsy i wpuszczoną w nie żółtą koszulę z krótkimi rękawkami. Z kieszonki na piersi wystawały mu okulary przeciwsłoneczne o lustrzanych szklach.

W pierwszej chwili Maria pomyślała, że Mateusz wpadł w jakieś kłopoty. Wdał się w bójkę czy coś i teraz siedzi w areszcie. Ale poważny wzrok tego nieumundurowanego sprawił, że nogi się pod nią ugięły.

– Bardzo mi przykro – powiedział mężczyzna. – Bardzo mi przykro.

Wypis z grupy na Facebooku „Znajdźmy Alicję!”

Zwróćcie uwagę na mniej więcej 4:36. Postój taksówek, facet w szarym płaszczu. Idzie w stronę Zwycięstwa. Mija się z Alą. Co się dzieje później. Widzicie to? 4:40. Przystaje. Zastanawia się nad czymś. Zawraca. On idzie za ALĄ! Co się z nim dalej dzieje? Dlaczego nie ma go na innych filmach? Czyżby wiedział, gdzie na dworcu są kamery, jaki jest ich kąt widzenia? Potrafił się przed nimi chować? Kim jest człowiek w SZARYM PŁASZCZU?!

Też zwróciłam na niego uwagę. W ogóle się nie pojawia nigdzie. Nikt o nim nie pisze, czyżby ktoś go chronił?!

Chronił :D Jasne, od razu spisek. Powiem ci dlaczego. Bo to nasz PREZYDENT był. PREZYDENT był człowiekiem w szarym płaszczu!

To nie jest śmieszne. Ciebie to nie dziwi? Jest człowiek, człowiek, który widział Alę, który za nią poszedł na sto procent, a który nagle zniknął. Nikt się nim nie interesuje, nikt nie wie, kto to był, skąd się tam wziął. Dokładnie! A musimy pamiętać, że dworce kolejowe to często miejsca, w których różni pedofile i zbrojeńcy wypatrują swoich ofiar! Amerykanie nazywają ich predators – łowcy. Szukają dzieci, które uciekły z domu, zagubionych nastolatków, biednych dzieciaków. Mogło się zdarzyć, że to

był właśnie taki predator. I Ala wpadła mu w oko. Dlatego za nią poszedł. Co więcej, tacy predatorzy zwykle działają w grupach. Często się zdarza, że są częścią lokalnego układu. Tak jak było w sprawie Klubu Pedofilów z Dworca Centralnego. Kogo tam nie było. U nas może być podobny klub. Dlatego nikt się nie interesuje człowiekiem w szarym płaszczu. Zadzwoił po prostu do swoich kolegów z policji, prokuratury i załatwił sprawę. Oni się właśnie tak chronią nawzajem.

Uwaga! Uwaga! Predatorzy w Gliwicach! Dzwonić po Schwarzeneggera!

No przecież mówiłem, że to sam PREZYDENT!

Spieprzajcie, trolle!

Tacy ludzie zwykle mają swoje „tereny łowieckie”. Podejrzewam, że ci, którzy pracują na dworcu, już ich tam doskonale znają. Kasjerzy, ochroniarze i przede wszystkim – taksówkarze. Czy ktoś ma kontakty w tym środowisku? Mógłby się rozpytać o człowieka w szarym płaszczu?

Przypominam, że ona przecież kupiła bilet do Wrocławia! Wsiadła do pociągu, a potem z niego wysiadła. Mamy odczyty z billingów! Nie szukajcie sensacji tam, gdzie jej nie ma. Prawdziwe pytanie – do kogo ona jechała do Wrocławia?! A może przed kim uciekała?

Przecież już powiedziane – przed PREDATOREM!

Podszedł tak blisko krawędzi dachu, że pod stopami miał kilkunastometrową przepaść. W głowie Dawida pojawiła się nieprzyjemnie pociągająca myśl, żeby zrobić krok naprzód.

Na dole, w miejscu, gdzie kilka miesięcy wcześniej odnaleziono ciało Mateusza Polaka, dostrzegał maleńką sylwetkę psa. Zwierzak z nosem przy ziemi szukał najlepszego miejsca, żeby się załatwić. Jego właściciel, mężczyzna w żółtej kurtce, stał kilka metrów dalej. Dawid pozwolił, żeby z ust wypłynęła mu kropla śliny i spadła na ziemię. Wychylił się nieznacznie, żeby sprawdzić, czy trafił w czworonoga. Ślina zniknęła mu z oczu gdzieś pomiędzy szóstym a siódmym piętrem.

– Myślicie, że zdążył zmienić zdanie? – zapytał.

Adwokat z dozorcą spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc.

– No wiecie – ciągnął – jak już skoczył. Tutaj jest dość wysoko. Trochę mu to zajęło, zanim sięgnął gleby. Może w trakcie pomyślał sobie: „O kurwa, co ja robię! Nie chcę! Jak to zatrzymać?!”. A wtedy...

Klasnął z całych sił w otwarte dłonie. Adwokat sapnął i otarł wierzchem dłoni czoło. Miał czterdzieści pięć lat, ale wyglądał co najmniej na pięćdziesiąt pięć. Jego mięsiste usta nieprzyjemnie kojarzyły się ze ślimakami, a nierówne, krzaczkaste brwi upodobały go do puchacza. Miał na sobie szary garnitur. Poły mary-

narki łopotały na wietrze, odsłaniając ciemne plamy potu pod pachami.

– Tylko nie mów takich rzeczy matce.

Dawid uśmiechnął się szeroko i odszedł od krawędzi. Wsadził dłonie w kieszenie spodni, bo mimo że świeciło wrześnie słońce, tutaj, wysoko na szczycie bloku, było dość chłodno.

Przeszedł kilkanaście kroków w prawo. Sportowe buty lekko odbijały się od nierówno ułożonej papy. Rozglądając się dookoła, widział dachy okolicznych bloków, potem smętną zieleń Lasu Łąbędzkiego, a w oddali osiedle Waryńskiego i bryłę fabryki Opla. Po drugiej stronie dostrzegł drewnianą wieżę radiostacji gliwickiej, a dalej na horyzoncie dominowała już nierówna szarość reszty aglomeracji śląskiej. Pomyślał, że to nawet ładny widok. Ale pewnie wszystko jest ładne, jeśli się patrzy na to z odpowiedniego dystansu.

Pod podeszwami poczuł coś śliskiego. Nachylił się i dwoma palcami podniósł kawałek gumy. Kiedy się zorientował, czym jest znalezisko, podkraść się do adwokata i zniemacka potrząsnął mu tym przed nosem. Mężczyzna stęknął zaskoczony i uskoczył do tyłu.

– Bierz to ode mnie! – krzyczał, równocześnie machając energicznie rękoma.

Dawid zachichotał i pokazał zużytą prezerwatywę dozorczy. Ten wzruszył ramionami. Był niskim, drobnym mężczyzną, który cały tonął w roboczym kombinezonie.

– Młodzi tutaj robili imprezy. Jak policja przyszła wtedy, to było tu pełno puszek po piwie, butelek. Kondomów też. Pozbieraliśmy wszystko, ale to musieliśmy przegapić.

– Ale co, nikt ze spółdzielni nie wiedział, że macie na dachu imprezownię?

– Dowiedziałem się dopiero, jak przyszła policja. Otwieram im kłódkę, otwieram wąż, patrzę, a tutaj pełno śmieci. W pierw-

szej chwili myślałem, że to ci robotnicy, co kładli papę, ale remont mieliśmy dwa lata wcześniej. Od tego czasu tylko okresowe kontrole.

Mężczyzna przerwał na chwilę, żeby pociągnąć nosem, i chciał mówić dalej, ale Dawid dał mu gestem znak, że wystarczy.

– Wyrzuc to wreszcie – poprosił adwokat.

– No co ty! – obruszył się Dawid. – To może być przełomowy dowód w sprawie. Ślad, który policja przeoczyła, a dzielny prywatny detektyw...

– Wywał to!

Dawid wypuścił prezerwatywę spomiędzy palców, a potem wytarł je w chusteczkę. Która zresztą zaraz potem wyładowała obok zużytego kondoma.

– Robimy tutaj coś jeszcze? – zapytał adwokat.

Dawid pokręcił przecząco głową. Ruszyli do wyjścia. Pierwszy schodził adwokat. Dyszał, próbując stopami wymacać drabinkę. Przez chwilę wydawało się, że zaklinuje się pomiędzy szczebelkami, ale wreszcie udało mu się uwolnić nogę. Przy okazji szarpnął zdecydowanie za mocno, tracąc równowagę, i na wpół zleciał, na wpół zsunął się na dół. Za nim poszedł Dawid. Ostatni był dozorca. Zamknął prowadzącą na dach kłapę i dołączył do mężczyzn.

– Coś jeszcze panowie chcą pooglądać?

– Nie.

Dozorca spojrział na nich znacząco, przesuwając wzrok od jednej twarzy do drugiej. Dawid trącił ramieniem adwokata i sam poszedł do windy. Kątem oka dojrzał jeszcze, jak mecenas wręcza dozorcę stułotowy banknot.

Na dworze Dawid stanął tuż pod ścianą bloku i spojrzał w górę. Wyobraził sobie lecące w dół ciało, krzyczącego w noc chłopaka młodszego od niego zaledwie o kilka lat. A może nie było tak. Może chłopak nie krzyczał. Miał zamknięte usta i wpatrywał się z dziką stanowczością w zbliżającą się ziemię. Albo jeszcze inaczej. W ogóle nie patrzył. Nie krzyczał. Tylko się śmiał, rozkładając szeroko ramiona i wyobrażając sobie, że jest aniołem.

– Co znowu? – spytał adwokat, który niecierpliwił się przy samochodzie. Patrzył na zegarek, a w drugiej dłoni trzymał paczkę papierosów. Obracał ją, niezdecydowany, czy zapalić czy nie.

– Farta miał chłopak.

– Farta?

– Bo zleciał tylko na trawnik, prawda?

– Tak.

– Poleciałby trochę w prawo albo zwiąłoby go i roztrzaskałby sobie łeb o wejście do klatki schodowej. Trochę w lewo i wpadłby na drzewo. – Dawid wskazał na rosnącą na trawniku brzozę. – A on idealnie środeczkiem. Nawet jakby celował, to nie trafiłby lepiej.

Adwokat spojrzał w górę.

– I co z tego wynika?

– Pewnie nic. Ale ciekawe, nie?

– E tam – mruknął adwokat, chowając paczkę papierosów do kieszeni – cuda się zdarzają, młody. Wsiadaj do wozu.

Dawid zajął miejsce pasażera w mercedesie. Wnętrze pachniało cytrynowym odświeżaczem powietrza dyndającym pod lusterkami. Wyciągnął nogi i ułożył się wygodnie. Przymknął powieki. Nawet nie poczuł, kiedy samochód ruszył. Zorientował się, że jada, dopiero wtedy, kiedy wóz podskoczył lekko na ustawionym na parkingu progu zwalniającym.

– Po co tu w ogóle przyjechaliśmy? – zapytał adwokat.

– Chciałem zobaczyć na własne oczy, jak to wszystko wygląda. Żeby mieć o czym z babką rozmawiać.

– I coś zobaczyłeś?

Dawid przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– No rzeczywiście, trochę dziwna sprawa. Facet tutaj nie mieszkał. Ale przyszedł w środku nocy, dostał się jakoś do klatki... Bo zauważyłeś, że mają domofon?

– Zauważyłem.

– No właśnie. Ktoś mu musiał otworzyć. Pijanemu. Mówiłeś, że ile miał?

– Półtora.

– Jak go badali. Cholera wie, ile to było, kiedy skakał.

– Albo go zepchnęli. Pijanego łatwo zepchnąć.

– Ano – zgodził się Dawid. – No i ten jego idealny lot. Prosto na trawę. Niby możliwe, ale dziwne.

Adwokat nie odpowiedział. Wyjechał na Toszecką i przyspieszył, łamiąc przepisy drogowe.

– Jaka ona jest? – zapytał Dawid.

– Kto?

– Matka skoczka.

Adwokat poruszył wargami, szukając odpowiedniego słowa.

– Trudna – powiedział wreszcie.

Dawid skrzywił się. Nie podobało mu się to określenie. Zwiastowało kłopotliwego klienta, a od takich wolał się trzymać z daleka.

Dalsza jazda zajęła im kilkadziesiąt minut. Chociaż zamiast „jazda” lepiej było użyć słowa „przebijanie się”. Gliwice były sparaliżowane z powodu budowy DTS-ki, czyli Drogowej Trasy Średnicowej, która przechodziła przez centra śląskich miast i miała usprawniać transport. Ale na razie generowała tylko gigantyczne korki. Jedyny pożytek z niej do tej pory polegał na tym, że na placu budowy znaleziono jakieś starożytne szkielety z obciętymi głowami i przez chwilę o Gliwicach zrobiło się głośno. Według archeologów celem tego nietypowego pochówku było to, żeby zmarli nie zmienili się w wampiry.

Wreszcie udało im się przejechać przez centrum i dotarli do Wójtowej Wsi. Chociaż ta nazwa wprowadzała w błąd. Dzielnicę na połowę przecinała mała rzeczka – Ostropka. Jej południowa część faktycznie miała charakter wiejski. Z krowami, kurami i polami. Chociaż i te musiały ustępować nowej zabudowie jednorodzinnej. Północna to było już normalne miasto ze szkołą i Biedronką na miejscu dawnej pętli tramwajowej.

Adwokat wjechał wąskimi uliczkami na ulicę Damrota. Przejechał ją całą, szukając miejsca do zaparkowania. Niby była dwukierunkowa, ale jeden pas w całości zajęły samochody. Dojechali do ulicy Słowackiego. Zawrócili. Za drugim podejściem adwokat wypatrzył kawałek wolnego placu. Zaparkował skosem na chodniku i wskazał palcem na niski, dwupiętrowy blok pomalowany na pastelowy zielony.

– To tutaj – powiedział.

Dawid wyjrzał przez okno.

– Chodziłem niedaleko do podstawówki. Do dziesiątki – oznajmił.

– Tak? To może znałeś tego Mateusza?

Dawid zastanowił się. Policzył coś na palcach.

– Nie. Za duża różnica wieku. Kiedy ja kończyłem, on chyba jeszcze nie zaczął nawet pierwszej. Może ma starszego brata, siostrę?

– Jedynek – wyjaśnił adwokat i klepnął Dawida w ramię. – Wsiadaj. Niechaj cię przedstawię naszej chlebodawczyni. Tylko błagam. Żadnych głupich numerów, głupich tekstów albo odzywek, jasne? Wystarczy, że się ubrałeś w te szmaty. – Wskazał na skórzaną kurtkę i bluzę z kapturem.

– Sorry, ale garnitur mam w praniu.

Adwokat wycelował w niego palcem. Był tak blisko, że jeszcze kilka centymetrów i wydłubałby mu oko.

– Właśnie o tym mówiłem, mały. Właśnie o tym.

Wpatrywała się w kartkę z podręcznika do kryminologii, po raz dziesiąty próbując zrozumieć to, co przed chwilą przeczytała. Ostatnio miała duże trudności ze skupieniem uwagi. Obok na stole stał kubek z zimną herbatą.

Od śmierci Mateusza niewiele wychodziła z kuchni. Bo po co? Wszystko tutaj miała. Lodówkę z jedzeniem, stół do pracy i radio, które cicho grało w kącie. Reszta mieszkania mogła się kurzyć. Musiała tylko pamiętać, żeby wieczorem choć trochę się umyć i położyć do łóżka, którego nigdy nie ścieliła. A potem śnić męczące sny. Nie pamiętała ich po przebudzeniu, ale nad ranem oczy miała zapuchnięte od łez.

Za dnia nie płakała. Nigdy. Nawet na pogrzebie. Ludzie dziwnie na nią patrzyli tamtego dnia. Szeptem dzielili się bredniami o tym, jaka jest nieczuła, że wcale nie kochała syna, że stoi teraz jak słup, pusta w środku, martwa. Zła matka. A ona chciała się rozpłakać. Nie dla nich i nie z powodu ich słów, ale dla siebie. Zalać łzami, wyc i wrzeszczeć, aż opadnie z sił. Aż będzie niezdolna do żadnej myśli, zatopiona w żalości, pozbawiona pamięci. Ale nie potrafiła. Czuła tylko piekącą suchość w gardle i coś, co przypominało zgałę.

Zorientowała się, że od kilku sekund ktoś energicznie puka do drzwi. Oderwała wzrok od gęstych linijek tekstu i podniosła się

z krzesła. Powłócząc nogami, przeszła do przedpokoju. W lustrze na ścianie ujrzała kobietę, w której ledwo rozpoznała siebie. Błądą, zmęczoną, z włosami w nieładzie.

Pukanie stawało się coraz natarczywsze.

– Zaraz – szepnęła, ale uzmysłowiła sobie, że ktokolwiek tam był, nie słyszał jej. Zmusiła się do krzyku. – Zaraz!

Chwyliła za szczotkę do włosów. Przeczesała się kilkoma ruchami, wyrwijąc przy okazji skołtunione kępkę, a resztę splotła w koński ogon. Pod oczy i na policzki wklepała odrobinę kremu Nivea. Włożyła wyjściowe okulary w grubej oprawie. Odetchnęła i dopiero wtedy podeszła do drzwi.

Po drugiej stronie czekał na nią grubawy adwokat. Za nim stał mężczyzna, dość młody, trochę poniżej trzydziestki, ale ubrany tak, że chciało się o nim powiedzieć „chłopak”. Miał na sobie czarną kurtkę, spod której wystawała bluza z kapturem, sprane dżinsy i brudne sportowe buty. Kilkudniowy zarost domagał się golenia, a zapuszczone długie włosy – wizyty u fryzjera albo chociaż porządnego grzebienia. Ręce trzymał w kieszeniach spodni, ale na jej widok wyciągnął je i wykonał ledwie widoczny ruch tułowiem, który prawdopodobnie miał oznaczać ukłon.

– Pan Rosolski.

– Dzień dobry pani – przywitał się adwokat. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

– Nie. Raczej nie.

– Tak. – Adwokat chrząknął, a potem zrobił krok w bok, żeby odsłonić stojącego za nim Dawida. – To pan Wolski. Detektyw, o którym kiedyś pani wspominałem.

Zmrużyła oczy i raz jeszcze obrzuciła mężczyznę badawczym spojrzeniem. Za drugim razem robił jeszcze gorsze wrażenie niż za pierwszym. Pomyślała, że gdyby mijala go na ulicy, przycisnęłaby mocniej torebkę do ciała. Tak na wszelki wypadek.

– Możemy wejść? – zapytał adwokat.

Zawahała się, ale Rosolski już zrobił krok do przodu i przepychając się, wmaszerował do przedpokoju.

– Gdzie możemy?

– Do kuchni – powiedziała, kapitulując. – Zna pan drogę.

Adwokat kiwnął dłonią na Dawida, który ruszył za nim. Maria Polak zamknęła drzwi.

Kiedy weszła do kuchni, obaj siedzieli już na taboretach przy kuchennym stole. Adwokat zamknął podręcznik do kryminalistyki, nie kłopotząc się zaznaczeniem strony, na której skończyła, i odłożył książkę na parapet. Powstałe w ten sposób miejsce wykorzystał, żeby rozłożyć swoje dokumenty. Dawid z kolei wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki kilka zmiętych kartek. Rozprostował je i położył przed sobą. Przez chwilę szukał czegoś, ale zrezygnował, kiedy Rosolski podał mu jeden ze swoich długopisów.

– Napiją się czegoś panowie? – zapytała.

– Herbatki, jeśli można – poprosił adwokat.

– A pan? – zwróciła się do Dawida.

– Niczego.

Wyciągnęła z szafki kubek i wrzuciła do niego torebkę herbaty Saga. Do elektrycznego czajnika dołała świeżej wody. Włączyła go. Czekala, aż woda się zagotuje. Czula, że mężczyźni ją obserwują. Żałowała, że ma na sobie starą, poplamioną spódnice i jedną z koszulek Mateusza. Nie zarzuciła na siebie nawet żadnej bluzy czy sweterka. Wolałaby, żeby nikt jej nie oglądał w takim stroju. Dobrze, że przynajmniej miała stanik. Bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, czy była na dzisiaj umówiona z adwokatem czy nie.

Wreszcie czajnik wyłączył się z cichym pstryknięciem. Zalała herbatę wrzątkiem i podała kubek Rosolskiemu.

– Dziękuję pani serdecznie.

– Proszę.

Usiadła naprzeciwko niego. Rosolski chrząknął, przewracając leżące przed nim kartki. Wiedziała, że próbuje w ten sposób dodać sobie powagi, bo nie było na nich niczego ważnego. Adwokat jednak lubił takie puste gesty, które Marię z kolei tylko męczyły.

– Zgodnie z ustaleniami z naszego poprzedniego spotkania pozwoliłem sobie przyprowadzić prywatnego detektywa, który od tej pory, o ile oczywiście pani się zgodzi, głębiej wejdzie w naszą sprawę.

– Nie jest pan za młody na prywatnego detektywa?

Zamyślony Dawid początkowo nie zorientował się, że te słowa były skierowane do niego. Wyrwany do odpowiedzi, spojrzał na adwokata, szukając u niego pomocy. Rosolski już otwierał usta, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Dawid wyciągnął z kieszeni komórkę, spojrzał na wyświetlacz i uśmiechnął się przeprasząco.

– Muszę odebrać – powiedział i wyszedł.

– Gdzie jest moja żona?

– W domu.

– Na pewno? Kolega widział ją w centrum handlowym, w Forum.

Dawid zaklął bezgłośnie.

– No bo była w Forum. Wróciła jakieś pół godziny temu. Teraz siedzi znowu w domu i nigdzie nie wychodzi.

Zaczął mu się robić gorąco. Co ten Baliczka kombinował? Sprawdzał go? I jaki kolega? Facet nie miał kolegów. Był smutnym patafianem, którego nikt nie lubił i którego każdy omijał szerokim łukiem. Ale ten patafian od kilkunastu tygodni zapewniał Dawidowi blisko połowę dochodów i głupio byłoby go stracić.

– A pan jest...?

– Przed pańskim domem. Na obserwacji, tak jak było to umówione.

Dawid z mocno bijącym sercem czekał na reakcję. Miał nadzieję, że nic ani nikt go teraz nie zdradzi.

Kiedy odebrał telefon, wszedł do pierwszego pokoju z brzegu. Przypadkiem trafił na sypialnię Mateusza. Ściany pomalowane były na chłodny niebieski kolor. Pod jedną stała meblościanka z biurkiem i komputerem. Na drugiej, nad łóżkiem, wisiał szalik Piasta Gliwice i plakat z piłkarzami pierwszej drużyny, kupiony

w klubowym sklepiku. Na krześle ciągle leżały ubrania, które chłopak pewnie przygotował sobie na komunię kuzynki – biała koszula i nowe niebieskie dżinsy. Do tego bokserki w paski i czarne skarpetki. Dawid szukał wzrokiem rzeczy osobistych. Znalazł dwa zdjęcia. Oba w ramkach, oba blisko siebie. Na jednym z nich na oko dziesięcioletni Mateusz w objęciach matki. Kobieta, nawet młodsza o kilkanaście lat, sprawiała nieprzyjemne wrażenie. Jej uścisk też był dziwny. Nienaturalny i agresywny. Jakby próbowała zmienić swoje ramiona w łańcuchy. Na drugiej fotografii był dorosły Mateusz. Teraz to on obejmował całkiem ładną blondynkę. Co dziwne, powtarzał zaborczą pozę matki. Uśmiechał się krzywo.

– A to dobrze – odezwał się wreszcie przeproszającym tonem Baliczka. – Myślałem, że może się panu wymknęła.

Dawid zaśmiał się nieszczerze.

– Nie, to niemożliwe. Nikt mi się nie wymknie. Nikt. Mam pana żonę na oku. Jeśli tylko będzie próbowała się spotkać z jakimś mężczyzną, to natychmiast wszystko udokumentuję. Będzie pan miał piękne fotki dla sądu.

– Dziękuję i przepraszam, że zajmuję czas. Skoro pan wszystkiego pilnuje.

– Proszę się o nic nie martwić – uspokoił Baliczkę Dawid i rozłączył się.

Schował telefon do kieszeni. I wtedy zorientował się, że w drzwiach stoi matka Mateusza. Zastanawiał się, ile słyszała.

– Proszę tutaj nie wchodzić – powiedziała ostro. – Nie wolno!

– Musiałem... Musiałem odebrać. Ważna sprawa. Osobista. Już wychodzę.

Minął ją i wrócił do kuchni. Usiadł obok Rosolskiego, który spiorunował go wzrokiem. Dawid zmusił się do zrobienia przeproszającej miny.

– To o czym rozmawialiśmy? – zagaił, kiedy dołączyła do nich kobieta.

– Że wydaje się pan za młody na detektywa – powiedziała po ciągnącej się w nieskończoność chwili milczenia.

– Uznaliśmy, że w tych okolicznościach wiek pana Dawida jest zaletą. Będzie mu łatwiej nawiązać kontakt z kolegami i koleżankami pani syna. Być może dzięki temu dotrze do nowych tropów, które nam umknęły – wtrącił się Rosolski.

Kobieta nie wydawała się przekonana. Założyła ręce na pierśiach, a jej usta zmieniły się w cienką czarną kreskę.

– I mimo wieku pan Dawid ma już duże doświadczenie – dodał adwokat.

– Właśnie słyszałam – mruknęła w odpowiedzi. – Dlaczego wybrał pan ten zawód?

– Pan Dawid... – zaczął Rosolski.

– Pana Dawida właśnie pytałam – przerwała mu ostro.

Dawid zastanawiał się przez moment, co powinien odpowiedzieć. Postanowił skłamać.

– Narkotyki – zaczął i poczuł, jak adwokat kopie go pod stołem. – Studiowałem prawo w Krakowie. Wpadłem w złe towarzystwo. Zacząłem ćpać. Nawet nie wiem, jak wyleciałem ze studiów. Ale od dwóch lat jestem czysty. Żadnych dragów. Żadnego alkoholu. Czasami papieros, ale też staram się rzucić. Przez nałóg nie ukończyłem studiów. Na pracę w policji z moją przeszłością nie miałem co liczyć. Wiedzy prawniczej starczyło akurat na licencję detektywistyczną. Teraz staram się zarobić trochę pieniędzy i wrócić. Zrobić magisterkę. Potem, jeśli się uda, aplikację.

Adwokat wstrzymał oddech, czekając na reakcję klientki. Kobieta, początkowo napięta jak struna, niepostrzeżenie rozluźniła się, a kąciki jej ust wygięły się w grymas, który można by uznać za zapowiedź uśmiechu.

– Przynajmniej jest pan szczerzy – przyznała. – I kto wie. Może pan, z pańską przeszłością...

Nie dokończyła. Dawid powstrzymał się, żeby nie posłać Rosolskiemu triumfującego spojrzenia.

– Wprowadził pan pana Dawida w tę sprawę? – zapytała.

– Oczywiście, pani Mario – przytaknął adwokat.

– Skoro tak, to rozumie pan, dlaczego uważam, że mój syn nie popełnił samobójstwa? – Tym razem kierowała swoje słowa do Dawida.

– Przeglądałem akta, które dostarczył mi pan Rosolski. Rzeczywiście, istnieje w tej sprawie wiele bardzo dziwnych okoliczności, które nie zostały wyjaśnione ani przez prokuraturę, ani policję.

– Przykładowo?

Zrozumiał, że go sprawdzała. Przymknął powieki, przypominając sobie wszystkie fakty dotyczące śmierci Mateusza Polaka.

– Nie znamy dokładnego przebiegu ostatniej nocy jego życia. Wiemy, o której wyszedł z domu. Wiemy, gdzie miał spać tamtej nocy. Wiemy, że spotkał się ze znajomym, ale szybko opuścił jego towarzystwo. Nie wiadomo za to, co się z nim działo przez co najmniej dwie godziny przed śmiercią. Kolejna sprawa to stan zwłok. Były w za dobrym stanie jak na upadek z tej wysokości. Miały za to obrażenia, które sugerują pobicie. Nie jest wykluczone, że pani syn zginął gdzie indziej, a jego ciało tylko podrzucono pod budynek, żeby zasugerować policji samobójstwo.

Udało mu się zdać test. Maria Polak zupełnie zapomniała o tym, że bez pozwolenia wpakował się do pokoju jej zmarłego syna. Kilka razy przytaknęła energicznie, niemalże wbijając sobie brodę w pierś.

– Tak, tak, tak – powtarzała – tego wszystkiego nie sprawdzono. Nie sprawdzono. Prawda, mecenasie?

– Prawda – potwierdził adwokat.

– Ale pan to zbada? – zwróciła się do Dawida.

– Najlepiej, jak tylko potrafię.

– Dobrze. Proszę to w takim razie zrobić. Niech pan znajdzie zabójców mojego syna.